



RABINDRANATH TAGORE

---

# Szkielet

  
wolnelektury.pl



FUNDACJA  
nowoczesna  
Polska



RABINDRANATH TAGORE

GŁODNE KAMIENIE

## Szkielet

TŁUM. FRANCISZEK MIRANDOLA

W pokoju przytykającym do naszej sypialni wisiał na ścianie ludzki szkielet. W nocy wiatr wpadający przez okno dzwonił jego kośćmi. Przez cały dzień myśmy wydzwaniali na nich. Uczyliśmy się osteologii od pewnego studenta medycyny, gdyż opiekun nasz postanowił wykształcić nas we wszystkich umiejętnościach tego świata. Czy mu się to udało, nie potrzebujemy mówić tym, którzy nas znają, dla innych niechaj to lepiej pozostanie tajemnicą.

Nauka

Minęło dużo lat od tego czasu. Szkielet zniknął z pokoju i przepadł gdzieś bez wieści, podobnie jak osteologia z głów naszych.

Przed kilku dniami pełno mieliśmy gości w domu i musiałem spać w dawnym, starym pokoju szkolnym. Ale niezwykajne otoczenie sprawiło, że sen nie jawił się. Przewracałem się z boku na bok i liczyłem uderzenia zegara wydzwanianego jedną godzinę po drugiej. Światelko lampki nocnej malało coraz to bardziej, drżało, mgliło się, błysło raz i drugi, i zagasło całkiem.

Zdarzyły się w ostatnim czasie w rodzinie naszej smutne przypadki zgonów, nic też dziwnego, że zagaśnięcie lampki przywiodło mi na myśl śmierć. Zacząłem rozmyślać nad tym, że na wielkiej arenie natury taki sam rezultat daje zagaśnięcie lampy, jak kiedyś światelko życia ludzkiego pograży się w noc wiekiustą.

Myśli te przywiodły mi na pamięć zapomniany od dawna szkielet. Zacząłem się zastanawiać, jak mogło wyglądać ciało, które go ongiś osłaniało, gdy nagle wydało mi się, że coś chodzi wokół mego łóżka i maca po ścianach, jakby czegoś szukając. Słyszałem najwyraźniej szybki oddech owej stwory. Szukała ciągle, nie mogąc znaleźć, i chodziła coraz prędzej po pokoju.

Duch, Wyobraźnia

Uświadamiałem sobie, że wszystko pochodzi jeno z wyobraźni podnieconego bezsennością mózgu i że to, co biorę za kroki, jest po prostu tętnieniem krwi w moich własnych skroniach. Ale mimo to uczułem zimny dreszcz. W celu zniweczenia tej halucynacji zawołałem głośno:

— Kto tam?

Kroki ucichły, dziwna istota zatrzymała się tuż obok mnie i posłyszałem odpowiedź:

— To ja! Przyszłam poszukać swego szkieletu.

Byłoby rzeczą sromotną okazywać strach wobec wytworu własnej wyobraźni, przeto powiedziałem z udanym spokojem, chwytając jednak kurczowo koldrę:

— Ładne zajęcie na noc, ani słowa! Ale cóż, szlachetna istoto, chcesz zrobić z tym szkieletem?

Odpowiedź, jaką otrzymałem, zdawała się wychodzić wprost z gęstej siatki przeciw moskitom, tuż obok mnie rozpiętej:

— Dziwne pytanie! Szkielet ten był częścią mego ciała, żebra jego okrywały moje serce. Rozpięte na nim były wdzięki mej dziewczęcej, dwudziestosześcioletniej postaci. Czyż nie słuszne tedy, że pragnę go zobaczyć raz jeszcze?

— Oczywiście! — odparłem. — Życzenie to jest całkiem uzasadnione. Proszę tedy szukać dalej, a ja się trochę prześpię.

Głos odparł na to:

— Jest pan samotny, tedy usiądę trochę przy panu i pogawędzimy sobie. Przed laty siadywałam tak obok ludzi i zabawiałam ich rozmową. Ale przez ostatnich lat trzydzieści pięć hulam i jęczę wśród drzew na miejscach palenia zwłok. Toteż zbiera mnie chęćka pogwarzyć, jak dawniej, z człowiekiem.

Uczulem, że ktoś siada tuż przy firance dotykającej mego łóżka. Podałem się losowi i powiedziałem tak serdecznie, jak tylko mogłem:

— Doskonale! Pogadajmy sobie o czymś wesołym!

— Najwesejsza rzecz, jaką znam, to historia mego życia. Opowiem ją panu.

W tej chwili zegar wybił godzinę drugą.

— W czasie, kiedy bawiłam jeszcze pośród żywych, bałam się na równi ze śmiercią jednego człowieka, mianowicie męża własnego. Co czułam, da się jeno porównać z uczuciem ryby złapanej na wędkę. Obcy człowiek nabił mnie na najostrzejszy ze wszystkich haczyków świata, wyciągnął z domu rodzinnego, gdzie się czuła szczęśliwa, a ja nie miałam sposobu uchronić się przed tym losem. Mąż mój zmarł w dwa miesiące po ślubie, a krewni i przyjaciele wyrażali mi w słowach pełnych patosu swe współczucie. Ojciec mego męża patrzył mi długo i badawczo w twarz, a potem powiedział do teściowej: „Ona ma bardzo złe spojrzenie!”. Czy pan słucha? Spodziewam się, że pana zajmuje ta historia?

— Bardzo, bardzo! — odparłem. — Początek jest nawet niezwykle wesoły!

— Więc ciągnę dalej. Cieszyłam się bardzo, powróciwszy do rodzinnego domu, odzyskaną wolnością. Ludzie kryli to przede mną, ale wiedziałam dobrze, że jestem olśniewająco piękna. Jakże się panu podobałam... co?

— Oczywiście, wierzę na słowo! — zapewniłem. — Tylko raczy pani uwzględnić, że nie widziałem jej<sup>1</sup> dotąd na oczy.

— Co? Nie widział mnie pan? A mój szkielet? Ha, ha, ha... No dobrze, żartowałam tylko. Jakże zdołam pana przekonać, że te dwie wielkie dziury w czaszce mieściły ongiś cudne, głębokie, połyskliwe, czarujące oczy? Jakie dam wyobrażenie o powabach śmiechu mego na podstawie owych wyszczerzonych zębów, któreś pan oglądał? Nie, nie potrafię opisać wdzięku i powabu mego młodzieńczego ciała, szlachetnych jego linii i miękkiej falistości, we wszystkim tym tkwiły suche, obrzydłe kościska. Zła jestem doprawdy, myśląc o tym. Najwybitniejszym lekarzom mych czasów nie śniło się nawet, by kościec mój miał służyć kiedyś do nauki osteologii. Zaręczam panu, że pewien mój znajomy, lekarz z zawodu, porównywał mnie do złotego kwiatu czampaku. Mówił, że cała reszta świata to wazon służący za ujęcie i tło mych kształtów. Czyż ktoś myśli o kwiecie czampakowym, patrząc na kościotrupa?

Gdy m sła, padał ode mnie blask, jaki sieje najcudniejszy brylant, czułam to doskonale, każde me poruszenie słało wokół fale piękna. Mogłam całymi godzinami oglądać swoje ręce, zdolne okiełznać najdziksze i najoporniejszego mężczyznę.

Niestety, ohydny szkielet dawał o mnie jak najgorsze świadectwo, a ja nie byłam w stanie odeprzeć oszczerstwa. Dlatego też pośród wszystkich ludzi najbardziej nienawidzę pana. Chciałabym panu ukazać się we śnie i tak olśnić mą niezrównaną minioną pięknnością, że nigdy byś już nie mógł zawrzeć powiek, a jednocześnie zapomnieć byś pan musiał o wszystkich głupstwach osteologicznych, jakieś sobie przyswoił, patrząc na ohydne kości moje.

— Przysięgam pani na cudne twoje ciało, którego nie widziałem zresztą nigdy — powiedziałem uroczyście — że w pamięci mej nie pozostało ni szczątko tej wiedzy, a cały mój umysł wypełnia teraz jeno olśniewająca zjawia twój piękności rozbłyskująca na czarnym tle nocy!

— Nie miałam towarzyski ni przyjaciółki — ciągnął dalej głos tajemniczy. — Jedyny mój brat postanowił nie żenić się nigdy, przeto w komnatach kobiecych mieszkałam sama jedna. Siadywałam sama w ogrodzie, w cieniu drzew, i marzyłam o tym, że cały świat jest we mnie rozkochany, że gwiazdy bezsenne piją spojrzeniem moją pięknność, że wiatr zawodzi tęskne poszumy, ile razy pod jakimś pozorem muśnie moją suknię, i że trawa pod dotknięciem stóp moich — gdyby posiadała świadomość — utraciłaby natychmiast

<sup>1</sup>Tylko raczy pani uwzględnić, że nie widziałem jej dotąd na oczy — dziś popr.: Tylko proszę uwzględnić, że nie widziałem pani dotąd na oczy. [przypis edytorski]

zmysły z rozkoszy. Marzyłam, że wszyscy młodzieńcy całego świata leżą u mych nóg jak żdźbła trawy, a przy tym smutek niezmierny napępiał moje serce.

Przyjaciół mego brata, Szekhar, ukończył studia medyczne i został naszym lekarzem domowym. Widywałam go już przedtem parę razy, patrząc spoza fałdów portiery. Brat mój był dziwakiem i unikał świata, nie chciał nań patrzeć, gdyż wydawał mu się za jaskrawy i zbyt ruchliwy. Toteż coraz to bardziej odsuwał się ode mnie i zaszywał w swoim kącie. Szekhar był jedynym jego przyjacielem i zarazem jedynym mężczyzną, na którego mi wolno było spoglądać. Toteż gdy marzyłam o młodzieńcach całego świata leżących u mych stóp, to każdy z nich był Szekharem...

Czy pan słyszy...? O czymże to pan дума?

— Chciałbym być Szekharem! — powiedziałem z westchnieniem.

— Zaczekaj no pan troszkę! Trzeba wpiery wysłuchać do końca mej historii. Pewnego dnia w zimowej porze deszczów dostałam silnej gorączki, więc przybył lekarz, aby mnie zbadać. Było to pierwsze nasze spotkanie. Leżałam naprzeciwko okna, tak że różowa poświata zachodu musiała padać na blade oblicze. Gdy lekarz wszedł, wyobraziłam sobie, że jestem na jego miejscu, i zaczęłam się sobie przyglądać. Ujrzałam najwyraźniej własną zaróżowioną twarz podobną do omdlałego kwiatu rzuconego na biel miękkich poduszek. Kędziory miedzianych włosów oblewały falą me czoło, a spuszczone powieki rzucały uroczy cień smutku na całe oblicze.

Doktor spytał brata po cichu i z wahaniem:

„Czy mógłbym zbadać puls?”

Wyjęłam spod koldry cudną rękę i podałam mu gestem znużenia. „Ach! — pomyślałam. — Gdybym też mogła przybrać ją w bransoletę z szafirami!”. Nie widziałam dotąd nigdy równie niezręcznego lekarza. Po prostu drżał, badając mój puls. Dygotały mu palce w sposób skandaliczny. On liczył uderzenia mego pulsu, a ja badałam jego serce... Czy pan mi wierzy?

— Najzupełniej! — powiedziałem. — Serce ludzkie zdradza się łatwo.

— Zachorowawszy kilka razy i ozdrowiawszy na nowo, przekonałam się, że liczba młodzieńców leżących u mych stóp w ogrodzie zredukowała się do jednego i wreszcie cały mój świat ograniczył się do jednego lekarza i jednej pacjentki.

Kiedy zbliżał się wieczór, zwykła pora mych marzeń w ogrodzie, stroiłam się precyzyjnie w złocisty sarong, przewijałam węzeł włosów wiankiem białego jaśminu i udawałam się na zwykle swoje miejsce, zabierając z sobą niewielkie lusterko.

Sądzi pan, że rychło znudzi się kobiecie podziwianie własnej urody? O, nie. Zresztą nie spoglądałam na siebie własnymi oczyma. Byłam wówczas istotą podwójną. Patrzyłam na siebie tak, jakbym była doktorem, wpatrywałam się w lustro, poddałam się temu urokowi i zakochałam się do szaleństwa. Ale mimo pieszczot, jakich sobie nie szczędziłam, błąkało się w mym sercu westchnienie, podobne obłądnemu wiatrowi tułającemu się po nocy.

Od tej pory przynajmniej nie byłam nigdy samotna. Idąc, spoglądałam na ruchy palców mych stóp dotykających ziemi i zadawałam sobie pytanie, co by uczynił doktor, gdyby je widział. Kiedy w południe powietrze wibrowało od żaru słońca i wokół zaległa cisza przerywana jeno dochodzącym z dala pokrzykiem błotnej czapli albo skrzekliwym mamrotem przepkupa, idącego ulicą wzdłuż muru ogrodowego, powtarzającego z uporem: „Kupujcie pierścienie kryształowe!”, wówczas rozpościerałam na trawie pod drzewami śnieżnobiałe płótno i kładłam się, opierając na ramieniu głowę. Z wyszukaną niedbałością spoczywało drugie ramię na płótnie, a ja wyobrażałam sobie, że mnie zobaczył, że pochwycił mą rękę w obie dłonie, że złożył na niej pełen szacunku i zachwytu pocałunek, a potem... odszedł powolnym krokiem... Cóż by pan powiedział, gdybym na tym zakończyła mą opowieść? Jak by się to panu podobało?

— Byłoby to wcale stosowne zakończenie! — odrzekłam z naciskiem. — Wprawdzie pozostawiałoby pewną lukę, ale mógłbym spędzić resztę nocy nad jej wypełnieniem.

— W ten sposób całość wypadłaby zbyt poważnie. Gdzieżby się znalazło miejsce na wesoleść i na skielet z wyszczerzonymi zębami? Toteż muszę skończyć sama. Skoro lekarz pozyskał jaką taką praktykę, wynajął na parterze naszego domu pokój ordynacyjny i urządził go jak należy. Wypytywałam go nieraz żartem o różne leki i trucizny i musiał mi

mówić, ile której z nich wziąć należy, by zabić człowieka. Ten temat interesował go, stał się tedy wymownym. Rozmowy takie oswoiły mnie powoli z myślą o śmierci i w ten sposób miłość i śmierć wypełniły doszczętnie mój mały światek. Zaraz będzie koniec... nie ma już dużo do opowiadania.

— I z nocy pozostało niewiele! — burknąłem pod nosem.

— Po jakimś czasie zauważyłam, że doktor siał się wielce roztargniony, i wydawało mi się, że chce coś ukryć, czegoś się wstydzi. Pewnego dnia przyszedł wcześniej jak zwykle. Był ubrany bardzo elegancko i pożyczył od mego brata powóz na cały wieczór.

Nie mogłam powściągnąć dłużej ciekawości i udałam się do brata, by zeń wyciągnąć jakąś wiadomość o zamiarach lekarza. Porozmawiawszy o rzeczach postronnych, spytałam w końcu: „Mój Dada, gdzie udaje się dzisiaj doktor twoim powozem?”

„Na śmierć!” — odrzekł brat krótko i węzłowato.

„Nie żartuj! — prosiłam. — Powiedz mi, gdzie jedzie?”

„Żenić się!” — brzmiała wyraźniejsza odpowiedź.

„Tak? Naprawdę?” — zawołałam i wybuchnęłam długim, rozgłośnym śmiechem.

Dowiedziałam się powoli, że przyszła doktorowa jest bardzo bogatą dziedziczką i wniesie mężowi ogromny posąg. Dlaczegoż jednak dręczył mnie ukrywaniem? Czyżem go kiedy błagała, by się z nią nie żenił, czyż go zapewniałam, że złamie mi życie? Nie należy nigdy ufać mężczyznom! Zawierzyłam w życiu jednemu jednemu mężczyźnie i oto takiego doznałam rozczarowania.

Załatwiwszy się z pacjentami, doktor wrócił do nas i zaczął się wybierać w drogę. Wówczas powiedziałam ze śmiechem: „Doktorze, pan się żeni!”

Wesołość moja nie tylko wytrąciła go z równowagi, ale nawet dotknęła.

„Dlaczegoż to — pytam — nie zarządzi pan iluminacji i nie sprowadzi muzyki?”

Odparł z westchnieniem: „Czyż małżeństwo daje powód do radości?”

Wybuchłam znowu śmiechem. „Nie, nie — zawołałam — tak być nie może. Któż widział wesele bez iluminacji i muzyki?”

Dręczyłam póty mego brata, aż się zgodził niezwłocznie zamówić wszystko, czego potrzeba do wesołej uroczystości ślubnej.

Przez cały czas paplałam bez ustanku wesoło o narzeczonej, bliskiej uroczystości i o tym, co uczynią, gdy panna młoda zjawi się w naszym domu. „Doktorze — spytałam — czy pan i potem będzie badał puls kobietom?”. Ha, ha, ha. Nie mogę wprawdzie widzieć, co się dzieje we wnętrzu człowieka, a zwłaszcza mężczyzny, ale pewna jestem, że słowa moje były dlań czymś jak pchnięcia sztyletu wymierzone w samo serce.

Obchód weselny miał się odbyć późnym wieczorem. Doktor przed odjazdem miał wypić, jak to czynił codziennie, z bratem szklankę wina na werandzie. Właśnie wzeszedł księżyc.

Przystąpiłam doń i zapytałam ze śmiechem:

„Czyż zapomniał, doktorze, o ślubie? Czas już jechać!”

Muszę wspomnieć o pewnej drobnej rzeczy. Oto na małą chwilę przedtem pobiegłam do apteki i kupiłam mały proszek, który niepostrzeżenie wyspałam do szklanki z winem przeznaczoną dla doktora.

Wychylił wino duszkiem i powiedział głosem drżącym od rozdrażnienia, spojrzawszy tak, że mi się ścisnęło serce: „Muszę tedy jechać!”

Muzyka zaczęła grać. Poszłam do mego pokoju, ubrałam się w szaty weselne ze złota i jedwabiu, przystroiłam się wszystkimi klejnotami wyjętymi ze starej szkatułki, namalowałam purpurowy znak mej godności mężatki na głowie, a potem przysposobiłam sobie leże pod drzewami w ogrodzie.

Noc była przecudna. Łagodny wietrzyk południowy rozpraszał znużenie, zapach jaśminów i kwiatów niedanu napelniał cały ogród balsamicznym tchnieniem i dziwną radością.

Tony muzyki stawały się coraz to cichsze, poświata księżycy przygasła powoli, świat cały, wraz ze zwykłymi wyobrażeniami o domu i krewnych, niby sen zacierał się coraz to bardziej w mej świadomości — zamknęłam oczy i uśmiechnęłam się.

Myślałam, że kiedy ludzie przyjdą i znajdą mnie, zastaną jeszcze ów uśmiech na moich wargach, niby ślad po czerwonym winie... że zabiorę z sobą ten uśmiech tak, iż będzie krasał me lico przez cały wiekiusty, nieprzespany sen w ślubnej łożnicy... Ale... ach! Cóż

Samobójstwo, Śmierć,  
Miłość silniejsza niż śmierć,  
Miłość tragiczna

się stało z moim licem, co zostało z jedwabnych i złotych szat, z klejnotów... Gdy się zbudziłam od suchego trzasku przetrzucanych kości, spostrzegłam trzech małych chłopców studiujących osteologię na moim szkielecie. Gdy tak niedawno jeszcze w piersi mej tętniła radość i ból i młodość rozwijała w niej pęki nadziei — to teraz w tej samej piersi tkwi patyk nauczyciela pokazujący uczniom każdą kostkę.

Tyle zostało! Czyś pan, ucząc się, zauważył ów uśmiech czarownicy, tak dobrze, tak misternie wystudiowany ongiś przeze mnie? No, jakże się panu podobała moja historia?

— Prześliczna! — zawołałem.

W tej chwili zaczął piać kogut.

— Czy pani jest jeszcze? — spytałem.

Nikt się nie odezwał. Tylko przez okno zająrzył do wnętrza szary świt.

---

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/tagore-szkielet>

Tekst opracowany na podstawie: Rabindranath Tagore, *Głodne kamienie i inne opowiadania*, tłum. Jerzy Bandrowski, Franciszek Mirandola, Czytelnik, Warszawa 1961.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Pauliny Choromańskiej. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Żak, Dagmara Deska, Dorota Kowalska, Paulina Choromańska.

Okładka na podstawie: Karen Roe, CC BY 2.0

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.